

carpe noctem
www.CarpeNoctem.pl



WYLEGĄNIE

Paweł Mateja

Matka wylęga mi się pod skórą, wypełnia wnętrze, jakby nie chciała już zostawić miejsca dla mojego dziecka, mojej niechcianej, ale przecież miłości. Nie planowałam, nie chciałam, bo nie pamiętam kim jest ojciec, bo przecież nie ten, co mnie nazwał pizdą i głupią kurwą, gdy mu o tym powiedziałam. Bo przecież nie on; nie taki ojciec miał być dla mojego dziecka.

To musiał być ktoś inny, kogo nie pamiętam, nie znam, może nigdy nie spotkałam. Albo minęłam go tylko w wyjściu z klubu, na ulicy, w markecie. Jasne oczy, ramiona szerokie, uśmiech, okulary, w których wygląda inteligentnie. To mógł być on, lekko go musnęłam, albo wcale, ale to wcale go nie było. Może to zrodziło się samo wtedy, gdy matka zaczęła się wylęgać.

W ustach znajduję na wpół wypalonego papierosa, nie powinnam przecież palić, bo moje Szczęście nie może palić, bo nie urośnie, bo urodzi się głuche, chore, martwe. Ale matka chce dymu, puchnie od tego, jest jej więcej, jest silniejsza i jeszcze bardziej głodna. Bo ja sama nie mam zupełnie ochoty na jedzenie. Choć moje Szczęście rośnie we mnie i muszę jeść.

Na łopatkach znajduję ślad jej dłoni odcisnięty od wnętrza. Spod skóry. Stoję w samych majtkach na zimnych kafelkach łazienki. Na pralce leży koszulka z napisem „I'm pregnant. You're the father”. Jest już sprana, rozciągnięta od ciągłego noszenia. Co za ironia.

Cała opływam potem; jest środek lata, koniec lipca, świat stoi w płomieniach; z osiedlowego podwórka dobiegają jakieś krzyki; jakieś awantury, kroki, krzyki, piski, ryki, skowyt silników, muzyka.

W mieszkaniu cisza. Jestem sama. Ja i opakowanie podpasek, których nie użyję jeszcze przez wiele miesięcy. Ciotka nie przyjdzie w odwiedziny. Ale ojciec wróci zaraz z pracy, zje coś gapiąc się w telewizor. I dobrze, nie chcę by na mnie patrzył i mówił, co powinnam, co robią rozsądne dziewczyny.

W brzuchu znajduję obiekt. Moje Szczęście.

Nie mogę pozwolić na to, by wyrosła we mnie, by się wylęgała. Skoro to moja kolej, skoro ona umarła, powinnam być teraz ja. Chciałabym ją wyrzucić z siebie, zniszczyć. Uciec od tego.

Przez korytarz dobiega mnie odgłos zza ściany. Słyszę, jak małe dziecko płacze, może zupełnie bez powodu. Słyszę głośny krzyk jego matki. Gniewny wyrzut, którego maluch nie pojmuje, ale który zostaje zasiany. Z którego pewnego dnia coś się wylęgnie.

W ustach znajduję słowa, które wymawia ta kobieta zza ściany. Ściekają wprost do mojego brzucha i są zimne, nieczułe i niesmaczne.

W ustach palcem znajduję język, który niegdyś wydawał mi się obcym ciałem, larwą, która

kurczy się i wije, wilgotna i niezrozumiała. Znajduję ślinę, miękkie podniebienie, migdałki, które uciskam palcami, zaczynam krążyć aż przychodzą mdłości, chwytają za żołądek. Cofam palce, za którymi wypływa rzadka struga. Wymiociny zbierają się w odpływie. Puszczam wodę i znikają. W oczach mam łzy. Później wypływam gęstą kwaśną ślinę i przez chwilę czuję się lepiej, choć matka nadal jest we mnie. Chce mi się ryczeć.

Przepłukuję usta i wracam do pokoju. Leżę naga, ona zbliża się do brzucha, nie mogę jej powstrzymać, ale proszę w myślach. Matko usłysz mnie, matko wysłuchaj mnie. Wysłuchaj swoją kretynkę, debilkę, tak mnie nazywałaś. Przepraszam za to, jak odpowiadałam ci w myślach, przecież teraz jesteś we mnie, wiesz to wszystko, nic nie mogę ukryć. Wylęgasz się, rośniesz pod skórą.

Matko przebacz mi i wyjdź ze mnie. Matko, która jesteś we mnie, ulituj się; matko, która jesteś we mnie, zostaw mnie.

Poruszyło się dzieciątko w moim łonie. Niewinne Szczęście zrobiło „puk-puk”. Niezwykle cicho, bo jeszcze jest za małe, bo to mogło mi się tylko wydawać. Ale dźwięk przeniknął łożysko, tkanki, skórę i rozszedł się w powietrzu. Kawalek tu, odrobina przez okno, część za ścianę.

Nagle doszedł mnie krzyk jakiegoś potwora. Tam, przy piaskownicy, gdzie mamusia pilnowała swoje młode. Odpowiedział mu krzyk sąsiadki zza ściany, dalej wołanie z pustej kuchni. Kolejne zza sufitu, z boku. Zew osaczał mnie, głosy istot, których nie rozumiałam, które wyczuły moje dziecko. Wyczuły przez skórę, przez drobny ruch, przeze mnie. Usłyszały ten malutki dźwięk i przebudziły się, by zawyć żałośnie.

Nie rozumiałam, czym jest to zawodzenie. Zdawało mi się, że słyszałam to kiedyś we śnie, gdy byłam jeszcze niewielka jak palec. Że to wzrastało wokoło mnie, budziło złe sny, gdy jeszcze nie rozumiałam nawet własnych zmysłów. Jak kolce w łożysku.

Przejęta dreszczami skuliłam się jak płód. Krzyki trwały jak wielka dysharmonia w muzyce sfer. Nie dałam rady tego przeczłuć i sama dołączyłam do chóru. I to był ból, szal. Oto śpiewała zła matka, która lęła mi się pod skórą.

- - -

Nagle wszystko się zmieniło. Pustka w której wcześniej coś mieszkało – wpięrw pomyślałam, że to dziecko, ten mały, pieprzony bękart. Wróciłam do łazienki po papierosy.

Co mnie to wszystko obchodzi? Przecież się nie wywinie. Nie dam się tak wyjebać. Chciał wkładać, a nikt nie kazał. Teraz będzie to-to musiał wykarmić. Albo płacić. Nienawidzę ich, nienawidzę siebie. Jeśli muszę cierpieć, bo czym innym jest noszenie tego brzucha, to niech i on,

kurwa, cierpi.

Ja sama tego nie wykarmię. Ja mam już dosyć. Głowa mi pęka.

Czuję w sobie pustkę. Coś umarło i natychmiast wyparowało. Nagle wszystko jest jasne, zaciskam usta, spadła mi z oczu skorupa. Jakbym narodziła się na nowo.